Chciałabym.

Są takie dni, że mi zwyczajnie ciężko. Że praca, że dziecko, że mąż, że dom. Że narzekam. Że pobudki w nocy, a potem przed świtem. Że 8 godzin za biurkiem, potem jeszcze pędzę na spotkanie, a w domu mam tylko czas dać dziecku kolację, wykąpać je i paść nieżywa. Że kuchnia niesprzątnięta, koło pralki góra brudów, a trzy czwarte podłogi zawalone klockami. Że mam ochotę rzucić to wszystko w diabły i odłożyć ambicje na bok.

Chciałabym być matką, która z powodzeniem łączy pracę i macierzyństwo, która może się pochwalić sukcesami, cieszyć wiecznie zdrowym i wiecznie grzecznym bobasem, a kiedy poczuje lekkie nadwyrężenie, wybiera się na weekend do SPA. Która nie musi godzić ze sobą wszystkich aspektów życia nie poświęcając się w 100% tak naprawdę żadnemu z nich. Chciałabym być wzorem do naśladowania, żeby mnie ktoś w Sèvres postawił jako wzorzec kobiecości, macierzyństwa i perfekcyjnego pogodzenia życia prywatnego z udaną karierą. Ale nie jestem. Zamiast tego nie

wyrabiam na zakrętach, wydaję ostatnie pieniądze na leki dla dzieci, przysypiam nad kubkiem zimnej kawy z niespienionym mlekiem z zepsutego ekspresu, a kiedy w obcej firmie czekam na spotkanie, pani z recepcji musi trzykrotnie powtórzyć moje imię, żebym zareagowała, bo gdzieś w głębi wewnętrznie się zawieszam, przechodzę w tryb stand-by, wykorzystując każdą krótką chwilę na regenerację sił.

I wciąż zadaję sobie te same pytania. Dlaczego nikt nie umie mi powiedzieć kiedy skończy się matczyne zmęczenie i poranne pobudki świątek, piątek czy niedziela? Kiedy nadchodzi ten dzień, że dziecko umie już się samo sobą zająć? Jaka jest recepta na odporność przedszkolaka i dlaczego akurat właśnie mój postanowił mieć wszystkie recepty w poważaniu? Dlaczego mimo moich wysiłków mój synek jest synkiem tatusia, do niego się przytula i z nim biegnie się bawić, a ja czuję się przy nich jak mała obrażona dziewczynka?

Chciałabym mieć biało-szaro-pastelowe, idealne życie, nieskazitelny dom (ha ha ha!), raz na tydzień masaż, a raz na dwa tygodnie zabieg albo inne hialuronowe cudo u kosmetyczki. Zamiast tego ze zmęczenia czasami nawet nie zdążę zmyć makijażu, bo padnę gdzieś w biegu, zrobię spaghetti z gotowego sosu, a dziecko nakarmię słoiczkami. Nie nadążam. Nie jestem idealna i już chyba nigdy nie będę.

Chciałabym pracować na etacie, być matką na full wypas, tłumaczką na zlecenia, szwaczką z zamiłowania i blogerką, która regularnie dostarcza soczysty *content*, za który czytelnicy i reklamodawcy biją jej pokłony. Zamiast tego jestem zmęczoną kobietą, która łapie dziesięć srok za jeden ogon, wszystkiego się ima po trochu, a w głowie ma wielkie plany i marzenia.

Ja wiem, że to minie. Że przyjdzie dzień, kiedy nagle zrobi się luźno, kiedy wolnego czasu zrobi się za dużo, a wtedy zatęsknię za obecną opcją rozciągania doby do 48 godzin i organizacji typu „im mniej czasu, tym więcej czasu”. Tymczasem

celebruję poranki, kiedy jest mi dane cieszyć się snem do 7:30, a moje dziecko budzi się wyjątkowo bez płaczu, po czym bez oporów daje mi na dzień dobry buziaka. Celebruję te małe radości, kiedy pani w przedszkolu mówi, że Ignaś ładnie je i śpi, co wcale nie jest takie oczywiste, bo w to jedzenie żaden lekarz mi nie wierzy.

I ja wiem, że jest dobrze, jest naprawdę przyzwoicie. Tylko co ja, biedna, umęczona matka mam poradzić na to, że chciałabym lepiej, więcej i sprawniej? I już, już postanawiam coś poradzić. Już postanawiam coś zrobić! Ale tak bardzo, baaaaardzoooo potrzebuję… snu. I po chwili zasypiam.